

## Ulicami Londynu: przygoda

**Przełożyła Magda Heydel**

Nikt chyba nie pała gwałtownym uczuciem do grafitowego ołówka. Bywają jednak takie okoliczności, w których posiadanie go okazuje się niezmiernie pożądane; takie chwile, kiedy czujemy, że musimy znaleźć sobie jakąś sprawę, jakiś powód, jakąś wymówkę, aby między herbatą a obiadem przespacerować się przez pół Londynu. Podobnie jak myśliwy poluje na lisy po to, by zachować pewną rasę koni, a golfista gra, aby uchronić otwarte przestrzenie przed zabudową, tak też kiedy nachodzi nas ochota, by powłóczyć się po ulicach, ołówek okazuje się świetnym pretekstem, więc podnosząc się, oświadczamy: „Muszę koniecznie kupić sobie ołówek”, jakby pod osłoną tej wymówki wolno było bezkarnie zafundować sobie największą z zimowych przyjemności w mieście – wędrówkę ulicami Londynu.

Pora dnia powinna być wieczorna, a pora roku zimowa, bo w zimie błoga jest szampańska jasność powietrza i towarzyskość ulic. Nie przesładuje nas wtedy, jak to bywa latem, tęsknota za cieniem, samotnością i słodkim powiewem znad skoszonych łąk. A wieczorna godzina, dzięki mrokowi i blaskowi latarni, darzy nas poczuciem nieodpowiedzialności. Nie jesteśmy już całkiem sobą. Kiedy w przyjemny wieczór, gdzieś między czwartą a szóstą wychodzimy z domu, zrzucamy z siebie to ja, które znają nasi przyjaciele, i wcielamy się w wielką, republikańską armię anonimowych wędrowców – towarzystwo tak miłe po samotności własnego pokoju. Tam bowiem siedzimy w otoczeniu przedmiotów, które bezustannie wyrażają dziwaczność naszego usposobienia i narzucają nam wspomnienia własnych doświadczeń. Misa na kominku, na przykład, została kupiona pewnego wietrznego dnia w Mantui. Wychodziliśmy już ze sklepu, ale ta ponura starucha zaczęła nas szarpać za suknie, i gadając, że przecież nie będzie miała czego do garnka włożyć, ale – „Bierzcie ją, bierzcie!” – wciskała nam do rąk tę niebiesko-białą porcelanową misę, jakby chciała natychmiast zapomnieć o tym ataku niezrozumiałej hojności. Z poczuciem winy zatem, choć jednocześnie podejrzewając, że zostaliśmy niezłe oskubani, zabraliśmy ją do hoteliku, gdzie w środku nocy właściciel tak strasznie kłócił się z żoną, że wszyscy wychylali się z okien na podwórze, żeby zobaczyć, co się dzieje, a zobaczyli winorośl oplatającą kolumnienki i gwiazdy bielejące na niebie. Ta chwila została zatrzymana, trwale wybita, jak moneta, wśród miliona innych, które prześliznęły się niezauważone. Był tam też ten melancholijny Anglik, który wśród filiżanek z kawą i żelaznych stolików powstał, by wyjawiać sekrety swej duszy – jak to czynią podróżnicy. Wszystkie te sprawy – Włochy, wietrzny poranek, winorośl na kolumnienkach, Anglik i sekrety jego duszy – wzbijają się jak opar z porcelanowej misy na kominku.

A znowu tam, kiedy spojrzeć na podłogę, na dywanie jest ten brązowy ślad. Sprawka pana Lloyda George'a. „Ten człowiek jest diabłem!” – oświadczył pan Cummings, stawiając w tym miejscu czajnik, z którego miał właśnie napełnić dzbanek z herbatą, i tak wypalił na dywanie ten brązowy krązek.

Kiedy jednak drzwi się za nami zamkną, wszystko to znika. Skorupiasta otoczka, którą wydzielają nasze dusze, by się skryć, by stworzyć sobie kształt odmienny od innych, pęka i ze środka wszystkich tych zmarszczek i szorstkości wyłania się ostryga uważności, ogromne oko. Jakże piękna jest ulica zimą! Zarazem ujawnia się i chowa. Można tu bez celu przemierzać proste, symetryczne aleje drzwi i okien; pod latarniami zaś drżą płynne wysepki bladego światła, przecinane przez lśniące sylwetki mężczyzn i kobiet, których, choć nędznych i obdartych, otacza warstewka nierzeczywistości, aura triumfu, jakby właśnie wymknęli się życiu, a ono, podstępem pozbawione swej ofiary, błąkało się teraz bez nich. A jednak – prześlizgujemy się tylko gładko po powierzchni. Oko nie jest górnikiem, nie jest nurkiem, nie jest poszukiwaczem zaginionych skarbów. Oko unosi nas gładko z nurtem, odpoczywając, pauszając, a umysł śpi chyba, kiedy oko patrzy.

Jakże piękna jest londyńska ulica z wysepkami światła i długimi zagajnikami mroku; z jednej strony otwiera się porośla drzewami i trawą przestrzeń, gdzie noc tak naturalnie zwija się do snu, a kiedy przechodzimy obok ogrodzenia z żelaznych prętów, słysząc te leciuteńkie potrząskiwania i poszumy liści i gałązek, które jakby przywodziły na myśl ciszę otaczających je pól, pohukiwanie sowy i dobiegający z daleka stukot pociągu w dolinie. Ale tu jest Londyn, przypomina się nam; wysoko wśród nagich drzew zawieszono podłużne ramy czerwonoawożółtego światła – okna; są też punkty płonące równym blaskiem niczym niskie gwiazdy – lampy; ta pusta przestrzeń, która zawarła w sobie wieś i wiejski spokój, to tylko londyński skwer obramiony biurami i domami, gdzie o tej porze lampy płoną jaskrawo nad mapami, nad dokumentami, nad biurkami, gdzie siedzą urzędnicy i, zwilżywszy palce, kartkują niekończące się pliki korespondencji; albo gdzie bardziej rozproszony płomień na kominku i blask lampy oświetla zacisze saloniku, fotele, tapety, porcelanę, inkrustowany stolik i postać kobiety, precyzyjnie odmierzającej łyżeczką herbaty, którą... Spogląda ku drzwiom, jakby dosłyszała na dole dzwonek i kogoś pytającego, czy jest w domu.

Tu jednak kategorycznie musimy się zatrzymać. Grozi nam, że wejdziemy głębiej, niż nam pozwala oko; że zakłócimy gładką podróż z nurtem rzeki, chwytając się jakiegś gałęzi czy korzenia. W każdej chwili śpiące wojsko może się poruszyć i zbudzić w nas odpowiedź tysięcy skrzypiec i trąbek; armia istnień ludzkich może się podnieść, by ujawnić wszystkie swe dziwactwa, cierpienia i nikczemności. Ach, jeszcze chwilę się ociągajmy, niech nam jeszcze wystarczą same tylko powierzchnie – potyskliwy błysk motorowych omnibusów; zmysłowa wspaniałość sklepu rzeźnika, gdzie żółte żeberka i purpurowe steki; błękitne i czerwone bukiety kwiatów płonące tak dzielnie zza szyb kwaciarskich wystaw.

Oko bowiem ma tę dziwną właściwość: zatrzymuje się tylko tam, gdzie jest piękno; jak motyl szuka kolorów, wygrzewa się w ciepłe. W zimowy wieczór, taki jak ten, kiedy

Natura dokłada wszelkich starań, by wyblyszczyc się i nastroszyć, oko przynosi najlepsze trofea, odłamuje grudki szafirów i koralu, jakby cała ziemia zrobiona była z kamieni szlachetnych. Nie potrafi tylko (a mowa tu o przeciętnym, nieprofesjonalnym oku) zrobić jednego: zestawić tych zdobyczy tak, by wydobyć z nich mniej jawne aspekty i powiązania. Stąd po dłuższym okresie tej prostej, cukrowej diety, stawy z piękna czystego i niezłożonego, zaczynamy odczuwać przesyty. Zatrzymujemy się więc w progu sklepu z butami i wymyślamy jakąś wymówkę, niemającą nic wspólnego z prawdziwą przyczyną, dla której zwijamy błyszczące paraferalia ulic i wycofujemy się w nieco mroczniejsze komnaty bycia, gdzie posłusznie opierając lewą stopę na stołeczku, możemy zapytać:

– A więc jak to jest być karlicą?

Weszła w eskorcie dwóch kobiet, które będąc normalnego wzrostu, wyglądały przy niej niczym dobroduszne olbrzymki. Uśmiechały się do sprzedawczyń, jakby chciały jednocześnie zaprzeczyć, że biorą jakikolwiek udział w jej ułomności, a zarazem zapewnić ją o swej opiece. Ona zaś miała ową cierpką, a zarazem przepraszającą minę, jaką zwykle widuje się na twarzach ludzi ułomnych. Potrzebowała ich uprzejmości, a zarazem miała im ją za złe. Kiedy jednak zawezwano jedną z ekspedientek, kiedy olbrzymki, uśmiechając się pobłaźliwie, poprosiły o bućki „dla tej damy”, a dziewczyna ustawiła przed nią stołeczek, karlica wystawiła stopę z raptownością, która jakby wzywała wszystkich do uwagi. Patrzcie! Patrzcie! – wydawało się, że stawiając stopę na stołku kieruje do nas takie żądanie, była to bowiem kształtna, doskonale proporcjonalna stopa wysokiej kobiety. Wygięta w łuk; arystokratyczna. Kiedy karlica spojrzała na swoją stopę wspartą na stołeczku, zmieniła się cała jej postawa. Wydała się ukojona i zaspokojona. Jej zachowanie zaczęło wyrażać pewność siebie. Kazała sobie podawać bućki za bućkiem; mierzyła parę za parą. Wstawiała i kręciła piruety przed lustrem, które odbijało tylko jej stopy w żółtych bućkach, w płowych bućkach, w bućkach z jaszczurczej skórki. Unosiła maleńkie suknie i pokazywała maleńkie nóżki. Myślała sobie, że ostatecznie to stopy są najważniejszą częścią ciała; bywało, mówiła sobie, że kobiety kochano jedynie dla ich stóp. Patrząc tylko na swoje piękne stopy, wyobrażała sobie być może, że reszta ciała jest do nich dopasowana. Ubranie miała nędzne, ale na buty gotowa była wydać każdą sumę. Jako że tylko przy tej jednej okazji nie bała się, że ktoś na nią patrzy, a wręcz domagała się uwagi, gotowa była użyć każdego sposobu, aby to wybieranie i mierzenie przedłużyć. „Patrzcie na moje stopy, patrzcie na moje stopy”, wydawało się, że powtarza, robiąc kroczek to w tę, to w tamtą stronę. Dobroduszna sprzedawczyni powiedziała jej pewnie coś pochlebnego, bo twarz karlicy nagle rozbłysła w uniesieniu. Ale olbrzymki, chociaż dobrotliwe, miały jednak jakieś własne sprawy; musi się zdecydować, musi wybrać wreszcie którąś parę. W końcu wyboru dokonano, a kiedy w otoczeniu swych opiekunek, z paczką zawieszoną na palcu opuszczała sklep, uniesienie z wolna nikło, powracała wiedza, dawna cierpkość i skrucha, a zanim dotarła z powrotem na ulicę, była już znowu tylko karlicą.

Ale wywołała zmianę nastroju; wprowadziła atmosferę, która w chwili, gdyśmy wychodzili za nią na ulicę, jakby powoływała do istnienia garbatych, pokracznych

i utołmnych. Ulicą kroczyli dwaj brodacie mężczyźni, zdaje się, że bracia, kompletnie ślepi, trzymając ręce na głowie idącego między nimi chłopca. Szli przed siebie niezłomnym, choć chwiejnym krokiem ślepców, ich zbliżające się postaci naznaczone były owym prze-rażającym i nieuniknionym losem, który ich dotknął. Kiedy tak szli prosto przed siebie, ich kondukt dosłownie rozrywał fale przechodniów pędem swego milczenia, prostoty, nieszczęścia. Ta karlica doprawdy puściła w ruch jakiś groteskowy taniec kuternogów, w który teraz włączyli się wszyscy, cała ulica: tęga dama ściśle owinięta lśniącem futrem z fok; upośledzony umysłowo chłopiec ssący srebrną gałkę laski; staruszek przycup-nięty na progu, jakby porażony z nagła absurdem ludzkiego spektaklu, usiadł sobie, aby się mu przypatrzeć – wszyscy włączyli się w podrygi i przytupy karlego tańca.

W jakich to szczelinach i załomach, można by pytać, żyją: cała ta kompania chro-myh i ślepych? Może tu, na najwyższych piętrach tych wąskich domów między Hol-bornem a Stranem, gdzie ludzie mają takie dziwne nazwiska i uprawiają przeróżne dziwaczne zawody, są wybijacze złota, plisiarze akordeonów, obciągacze guzików i inni, którzy utrzymują się przy życiu bardziej jeszcze fantastycznymi sposobami, handlując fili-żankami i spodeczkami, porcelanowymi rączkami do parasoli oraz jaskrawo barwionymi obrazami świętych męczenników. To tu się gnieźdzą i zdaje się, że damie w fokach życie musi się wydawać całkiem znośne, skoro spędza dnie z plisiarzem akordeonów lub z ob-ciągaczem guzików; życie tak fantastyczne nie może być kompletnie tragiczne. Nie mają nam za złe, tak sobie dumamy, naszej zasobności; aż tu nagle, skręciwszy za róg, natyka-my się na brodatego Żyda, oszalałego, chorego z głodu, z głębi swej nędzy rzucającego gniewne spojrzenia; albo mijamy zgarbione ciało starej kobiety, ciśnięte i porzucone na progu jakiegoś gmachu publicznego, przykryte kapotą jak płachtą, którą narzuca się pospiesznie na martwego konia czy osła. Na taki widok splot pacierzowy jakby stawał dęba, przed oczyma błyska nam nagle flara, pada pytanie, na które nie ma odpo-wiedzi. Dość często ci włóczędzy wybierają sobie miejsca dosłownie o rzut kamieniem od teatrów, w zasięgu dźwięku katarynek, a kiedy nadciąga wieczór, omalże dotykają wyszywanych dżetami płaszczy i jasnych nóg bywalców restauracji i dansingów. Ukła-dają się przy witrach, w których staruchom leżącym na progach, ślepcom, kulejącym karłom handel oferuje sofy wsparte na dumnych złożonych szyjach łabędzi; stoły intar-sjowane w kosze kolorowych owoców, komody wykładane zielonym marmurem, by tym lepiej utrzymywały ciężar łbów dzików, poztacanych koszy, kandelabrow; oraz dywany, tak zmiękczone przez wiek, że ich czerwienie niemal już zanikły w bladezielonym morzu.

Kiedy się przechodzi i spogląda, wszystko zdaje się przypadkowo, lecz cudownie skropione pięknem, jakby fala handlu, która swe brzemień tak precyzyjnie i prozaicznie wynosi na brzegi Oxford Street, nie wyrzuciła dziś wieczorem niczego prócz skarbów. Nie myśląc nawet o zakupach, oko jest radosne i szczodre; stwarza; ozdabia; popra-wia. Stojąc tak na ulicy, można w wyobraźni zbudować liczne pokoje wielkiego domu i wyposażać je do woli sofami, stołami i dywanami. Ten chodniczek nada się do holu. Tę alabastrową misę postawi się na giętym stoliku pod oknem. To grube okrągłe lu-stro będzie odbijało nasze zabawy. Ale kiedy się zbuduje i urządzi taki dom, szczęśliwie

nie ma się obowiązku, by go posiadać; można go w okamgnieniu zburzyć i zaraz zbudować kolejny, i wyposażać go innymi krzesłami i innym szkłem. Zabawmy się teraz trochę w antykwariatach ze starą biżuterią, pośród tac z pierścionkami i rozwieszonych naszyjników. Wybierzmy, dla przykładu, te perły i wyobraźmy sobie, że kiedy je założymy, zmieni się nam życie. Natychmiast robi się jakaś druga czy trzecia w nocy; lampy płoną bardzo jasno nad opustoszałymi ulicami Mayfair. Tylko automobile pojawiają się o tej porze, odczuwa się pustkę, nonszalancję, ustronną wesołość. W perłach i jedwabiach wychodzi się na balkon ponad ogrodami uśpionego Mayfair. Kilka lamp pali się jeszcze w sypialniach wielkich parów, którzy powrócili z sądu, lokajów w jedwabnych pończochach, utytułowanych wdów, które ścisnęły ręce mężów stanu. Pod murem ogrodu pełnie kot. W ciemniejszych częściach pokoju, za grubymi zielonymi kotarami, szemrzaco, uwodzicielsko toczy się miłość. Krocząc statecznie, jakby przechadzał się po terasie, z której widać leżące w blasku słońca hrabstwa i baronie Anglii, sędziwy Premier wyjaśnia lady Takiej-a-Takiej, ustrojonej w loczki i szmaragdy, prawdziwą historię jakiegoś zasadniczego przełomu w sprawach tego kraju. Wydaje się, że płyniemy zawieszeni na samym czubku najwyższego masztu najwyższego żaglowca; a zarazem wiemy przecie, że nic z tych rzecz nie ma znaczenia, nie tak dowodzi się miłości, nie tak dokonuje się wielkich czynów; radujemy się zatem chwilą i z lekka stroszymy w niej piórka, kiedy stojąc na balkonie, patrzymy, jak w blasku księżycy kot sunie wzdłuż muru ogrodu Księżniczki Mary.

Ale, ale, czy może być coś bardziej absurdalnego? Bije właśnie w samej rzeczy szósta, jest zimowy wieczór; a my idziemy na Strand, żeby kupić ołówek. Jakże więc możemy równocześnie znajdować się na balkonie, w czerwcu, z naszyjnikiem z pereł na szyi? Czy może być coś bardziej absurdalnego? A jednak to szaleństwo Natury, nie nasze. Kiedy zabrała się do swojego głównego arcydzieła, stwarzania człowieka, powinna była myśleć tylko o tym jednym. Tymczasem odwracała się, zerkając przez ramię i tym sposobem dała dostęp do każdego z nas instynktom i pożądanom całkowicie sprzecznym z naszą zasadniczą istotą, dlatego też jesteśmy wielobarwni i pstrokaci, zrobieni z mieszaniny; kolory z nas uciekły. Czy prawdziwa jaźń to ta, co stoi w styczniu na chodniku, czy może ta, która wychyla się z balkonu w czerwcu? Jestem tu czy raczej tam? A może prawdziwa jaźń to ani ta, ani tamta, ani tu, ani tam, ale jest tak różnorodna i wędrująca, że tylko wtedy, gdy oddamy wodze jej zachciankom i pozwolimy jej bez przeszkód pójść własną drogą, staniemy się sobą? Warunki zmuszają nas do jedności; dla wygody człowiek musi być całością. Dobry obywatel, który wieczorem otwiera drzwi swojego domu, musi być bankierem, golfistą, mężem, ojcem; a nie nomadą wędrującym po pustyni, mistykiem wpatrzonym w niebo, rozpustnikiem w slumsach San Francisco, żołnierzem na czele rewolucji, pariasem skowyczącym w zwątpieniu i samotności. Kiedy otwiera drzwi swojego domu, obywatel musi przygładzić palcami włosy i wstawić parasol do stojaka, tak jak wszyscy inni.

Ale tutaj, w samą porę, mamy antykwariaty z książkami. Tutaj znajdziemy zakotwiczenie wśród tych wiążących nas nurtów istnienia; tutaj odzyskamy równowagę

po wspaniałościach i nędzy ulic. Już sam widok żony antykwariusza, która oparłszy nogi o krawędź paleniska, osłonięta od drzwi, siedzi sobie przy porządnym węglowym ogniu, otrzeźwia i pociesza. Ona nigdy nic nie czyta, najwyżej ma gazetę; jej gadanie, kiedy tylko zejdzie z handlu książkami, co robi chętnie, dotyczy kapeluszy; kapelusz musi być praktyczny, powiada, poza tym, że ładny. Ach nie, nie mieszkają tu przy sklepie; mieszkają w Brixton; odrobina zieleni jest jej absolutnie konieczna. W lecie stawia dzbanek z kwiatami z własnego ogródka na którymś z tych stosów zakurzonych papierów, żeby trochę ożywić pomieszczenie. Książki są wszędzie; i jak zawsze przepełnia nas to samo oczekiwanie przygody. Używane książki to książki dzikie, bezdomne; gromadzą się w wielkie stada o wielobarwnym upierzeniu i jest w nich czar, którego brak udomowionym tomom na bibliotecznych półkach. Poza tym w takiej przypadkowej, różnorodnej kompanii może się zdarzyć, że otrzymamy się o kogoś absolutnie obcego, kto przy odrobinie szczęścia może się okazać naszym najlepszym: na świecie przyjacielem. Zawsze jest nadzieja, że kiedy sięgniemy na najwyższą półkę po jakąś szaro-białawą książkę, kierowani roztrzącanym przez nią wrażeniem bylejakości i opuszczenia, napotkamy w niej człowieka, który ponad sto lat temu konno wyruszył do środkowej Anglii i do Walii, by zbadać rynek handlu wełną; nieznanego wędrowca, który nocował w gospodach, popijał piwo, zauważał piękne dziewczęta i odwieczne zwyczaje, a opisał to wszystko stylem sztywnym i pracowitym po prostu z czystej miłości (książkę wydał na własny koszt); była nieskończenie prozaiczna, rzetelna i przyjemna; dlatego choć piszący nic o tym nie wiedział, przesiąkła aromatem malw i siana, dając też taki portret samego autora, że na zawsze zapewniła mu ciepły kącik w zakamarkach myśli. Można go teraz kupić za osiemnaście pensów. Cena na egzemplarzu to trzy szylingi i sześć pensów, ale kiedy pani antykwariuszowa widzi, jak obdarta jest okładka i ile czasu książka spędziła u niej na półce, od kiedy została kupiona na jakieś wyprzedazy od pewnego dżentelmena z Suffolku, od razu spuszcza cenę.

Takim to sposobem, rozglądając się po księgarni, zawiązujemy więcej jeszcze podobnie niespodzianych, kapryśnych przyjaźni z nieznanymi i znikłymi, na których istnienie wskazuje tylko ten niewielki tomik wierszy, tak elegancko wydrukowany, tak subtelnie zdobiony, również grawiurą z portretem autora. Był bowiem poetą i utonął młodo, a jego strofy, łagodne, a zarazem formalne i sentencjonalne, tchną wciąż jeszcze delikatnym, fletowym dźwiękiem, przypominającym nieco katarynkę, na której w jakiejś bocznej uliczce grał z rezygnacją stary Włoch kataryniarz w sztruksowej marynarce. Są i podróżnicy, całe zastępy podróżników i podróżniczek, niezłomnych starych panien, które wciąż jeszcze dają wyraz niewygodom, jakich zaznały, oraz zachodom słońca w Grecji, jakie podziwiała w czasach, gdy królowa Wiktoria była matką dziewczynką; wyprawa do Kornwalii i wizyta w kopalni cyny uważana była za godną obszernego opisu; ludzie dążyli powoli w górę Renu i rysowali sobie nawzajem portrety piórkiem w pozie nad książką, na pokładzie, tuż obok zwoju liny; dokonywali pomiarów piramid; przez lata nie mieli kontaktu z cywilizacją; nawracali Murzynów na morowych mokradłach. Całe to pakowanie się i wyjazdy, eksploracje pustyń, łapanie malarii, osiedlanie się w Indiach na resztę życia, przenikanie nawet do Chin i powroty do zaściankowego

życia w Edmonton – wszystko to przewraca się teraz i przewala po zakurzonej podłodze niczym wzburzone morze, tacy niespokojni są Anglicy, a fale podchodzą pod same ich drzwi. Wody podróży i przygód rozbijają się o małe wysepki autentycznego wysiłku i życiowej pracowitości, ustawione na podłodze antykwarium w nierównych kolumnach. W tych purpurowo oprawnych tomach ze złoceniami na grzbiecie wnikliwi duchowni objaśniają pisma; usłyszeć można uczonych, jak zbrojni w młotki i kielnie odkuwają starożytne teksty Eurypidesa i Ajschylosa. Wokoło na potęgę idzie myślenie, komentowanie i wyjaśnianie, a ponad wszystkim, niczym punktualna, wiecznotrwała fala, przelewa się starożytne morze fikcji. Niezliczone tomy opowiadają o tym, że Artur kochał Laurę, ale zostali rozłączeni i czuli się nieszczęśliwi, potem jednak spotkali się znów i żyli długo i szczęśliwie, jak to było w powszechnym zwyczaju, kiedy tymi wyspami rządziła królowa Wiktoria.

Liczba książek na świecie jest nieskończona, człowiek zmuszony więc jest spojrzeć, skinąć głową i po chwili rozmowy, po nagłym błysku zrozumienia ruszać dalej, skoro na zewnątrz, na ulicy łapie w przelocie przypadkowe słówko i z przygodnej frazy tworzy całe życie. Ktoś rozmawia o kobiecie o imieniu Kate, i jak to „ja jej wczoraj wieczór mówię całkiem wprost... jeśli uważasz, że nie jestem warta znaczka za pensa, jej mówię...”. Jednak kim jest Kate i do jakiego przełomu w przyjaźni nawiązuje ów pens, nigdy się nie dowiemy; Kate bowiem niknie w ciepłe elokwencji; a tutaj, na rogu, kolejna karta księgi życia otwiera się na widok dwóch ludzi konferujących pod latarnią. Odcyfrowują najnowszą depezę z Newmarket w wiadomościach z ostatniej chwili. Czy myślą może, że fortuna kiedyś zamieni ich łachmany na futra i sukno, owinie ich łańcuszkami od zegarków i wepnie diamentowe szpilki w miejsce, gdzie teraz widać obdarte koszule bez kołnierzyków? Ale główny nurt przechodniów o tej porze jest zbyt wartki, by dało się stawiać takie pytania. Na krótkie przejście z pracy do domu ludzie otula jakiś narkotyczny sen, wreszcie uwolnili się od biurek, na policzkach czują powiew powietrza. Odziani w te jasne stroje, które na resztę dnia muszą odwieszać i trzymać pod kluczem, stają się teraz wielkimi krykieskami, słynnymi aktorkami, żołnierzami, którzy w godzinie próby pospieszyli na ratunek ojczyźnie. Śniąc, gestykulując, czasem wypowiadając na głos kilka słów, suną Strandem i mostem Waterloo, skąd porwą ich długie, klekoczące pociągi, by wciąż śpiących dowieźć do jakiegoś wymuskanego domku w Barnes albo Subiton, gdzie widok zegara w holu i dochodzący z suterenu zapach kolacji przebiję ten sen.

Ale teraz doszliśmy do Strandu i kiedy z wahaniem stoimy na krawężniku, małeńka bariera, długa mniej więcej na palec, odgradza nas od ruchu i obfitości życia. „Naprawdę muszę – naprawdę muszę...” – tak to brzmi. Bez zagłębiania się w istotę tego nakazu, umysł płaszczy się przed swym codziennym tyranem. Musi się, zawsze się musi zrobić to czy owo; nie ma możliwości, żeby mieć się dobrze i cieszyć się chwilą. Czyż to nie z tego powodu jakiś czas temu stworzyliśmy sobie wymówkę – wymyśliliśmy, że musimy coś kupić? Ale co to było? A, już pamiętamy, ołówek. Chodźmy więc i kupmy ołówek. Ale kiedy tylko odwrócimy się, aby wypełnić rozkaz, inne ja podaje w wątpliwość prawo tyrańskie do wywierania nacisku. Pojawia się zwykły w takich razach konflikt.

Za zagradzającą nam drogę barierą obowiązku widzimy całą połąć Tamizy – szeroką, żałobną, spokojną. Patrzymy na nią oczyma kogoś, kto w letni wieczór wychyla się z nad nabrzeża, nie troszcząc się o nic na świecie. Odtłóżmy kupno ołówka; chodźmy i poszukajmy tego kogoś (szybko okazuje się, że to my jesteśmy tą osobą). Gdybyśmy bowiem mogli stanąć w tym miejscu, w którym staliśmy sześć miesięcy temu, to czy nie zamienilibyśmy się na powrót w tego, kim wtedy byliśmy – kogoś spokojnego, wyniosłego, zadowolonego? No to spróbujmy. A jednak rzeka jest bardziej zmierzwiona i szara, niż była wówczas. Fala odpływu biegnie ku morzu. Niesie holownik i dwie barki, na których ładunki słomy zostały ściśle opatulone brezentowymi plandekami. No i bardzo niedaleko od nas znajduje się jakaś para: wychylają się za balustradę, naszeptując coś do siebie z tym brakiem zażenowania, jaki charakteryzuje zakochanych, jakby waga historii miłosnej, w którą są zaangażowani, dawała im prawo, by kategorycznie żądać pobłażliwości ze strony rodzaju ludzkiego. Widoki przed naszymi oczyma i dźwięki w naszych uszach nie mają nic z tych z przeszłości; nie mamy także udziału w pogodzie ducha człowieka, który pół roku temu stał dokładnie w tym samym miejscu, gdzie się teraz znajdujemy. W nim jest szczęście śmierci; w nas – niepokój życia. On nie ma przyszłości; nam przyszłość nawet w tej chwili narusza spokój. Tylko jeżeli spojrzymy w przeszłość i zabierzemy z niej ów element niepewności, będziemy mogli cieszyć się doskonałym spokojem. A tak musimy znów przejść przez Strand i znaleźć sklep, w którym o tej porze zechcą nam jeszcze sprzedać ołówki.

Wejście do nowego pomieszczenia zawsze jest przygodą, życie i charakter jego właścicieli przesycają bowiem atmosferę, kiedy więc wchodzimy, zderzamy się z nową falą emocji. Tutaj, w sklepiku papierniczym, z całą pewnością rozgrywała się kłótnia. Złość przebijiała powietrze. Oboje przerwali; starsza kobieta – to na pewno było małżeństwo – wycofała się na zaplecze; starszy pan, którego czoło i wylupiaсте oczy świetnie by się prezentowały na frontyście elzbietańskiego foliału, pozostał na miejscu, aby nas obsłużyć. „Ołówek, ołówek – powtarzał – oczywiście, oczywiście”. Mówił z roztargnieniem, ale i wylewnością osoby, której emocje zostały wzburzone i w najwyższym punkcie gwałtownie wstrzymane. Zaczął otwierać pudełko za pudełkiem i jedno po drugim zamykać. Stwierdził, że bardzo trudno jest znaleźć cokolwiek, kiedy się ma na składzie aż tak szeroki asortyment artykułów. Zabrał się za opowiadanie historii o pewnym dżentelmenie z branży prawnej, który z powodu działań swojej żony znalazł się w niezłych opatach. A znał go od lat; przez pół wieku miał kontakty z Temple; przemawiał, jakby koniecznie chciał, żeby żona go usłyszała i wróciła do sklepu. Rozsypał pudełko gumek recepturek. W końcu, doprowadzony do rozpaczki własnym brakiem orientacji, pchnął wahadłowe drzwiczki, aż otwarty się na oścież i krzyknął ostro: „Gdzie ty trzymasz ołówki?” – jakby żona je przed nim schowała. Starsza pani weszła. Nie patrząc na nikogo, gestem surowej sprawiedliwości wyciągnęła rękę i dotknęła właściwego pudełka. Tam były ołówki. Jakże on miałby sobie bez niej poradzić? Czyż nie była mu niezbędna? Aby ich utrzymać w tym miejscu – stojących tak ramię w ramię w aurze wymuszonej neutralności – trzeba było wykazać się szczególną wybrednością przy wyborze ołówka; ten był za miękki, tamten



za twardy. Stali w milczeniu, patrzyli przed siebie. Im dłużej to trwało, tym bardziej się uspokajali; temperatura opadała, rozprasała się złość. I już, bez słowa z żadnej strony, kłótnia została zakończona. Starszy pan, który nie przyniósłby wstydu karcie tytułowej Bena Jonsona, odłożył pudełko na swoje miejsce, z ukłonem życzył nam miłego wieczoru i oboje znikli. Ona wyjmie robotkę; on siądzie z gazetą; kanarek będzie ich sprawiedliwie posypywał ziarnem. Już po kłótni.

Przez tych parę minut, kiedy trwało poszukiwanie ducha, zażęgniwanie kłótni i kupowanie ołówka, ulice całkowicie opustoszały. Życie wycofało się na najwyższe piętra, zapalono lampy. Trotuar był suchy i twardy; jezdnia – z kutego srebra. Kiedy wracało się do domu przez pustkowia, można było opowiedzieć sobie historię karlicy, ślepcy, towarzystwa z rezydencji w Mayfair, kłótni w sklepiku z papeterią. Można było odrobinę zagłębić się w każdy z tych żywotów, na tyle, by stworzyć sobie iluzję, że nie jest się przywiązany do jednego umysłu, lecz można na chwilę, na parę minut przybrać ciała i umysły innych osób. Można było zostać praczką, właścicielem szynku, ulicznym grajkiem. A jakże może być większa przyjemność, niż porzucić proste drogi osobowości i zboczyć w owe ścieżynki, które wiodą przez kolące zarośla i wśród grubych pni aż ku sercu lasu, gdzie żyją owe dzikie stwory, nasi bliźni?

To prawda: ucieczka jest największą rozkoszą; włóczęga ulicami w zimie najwspanialszą przygodą. A jednak, kiedy na powrót zbliżamy się do drzwi własnego domu, jakże pociecha płynie z poczucia, że nasz stary dobytek, nasze stare uprzedzenia znów nas otulają, chronią i zamykają jaźń, która przewędrowała przez tyle skrzyżowań i jak ćma dobijała się do światła tak wielu niedostępnych latarni. Teraz wszak znów są te drzwi co zawsze, fotel odwrócony tak, jak go zostawiliśmy, i porcelanowa misa, i brązowe kółko na dywanie. Tutaj tymczasem – przyjrzyjmy mu się z czułością, dotknijmy go z szacunkiem – jest jedyny zbytek, jakiśmy przynieśli ze sobą spośród wszystkich skarbów miasta: grafitowy ołówek.



Piotr Mitzner, *Bez tytułu*